

Objazdowe kino



Romuald Mieczkowski (*Wilno*)

Z początku pojawiał się on, najczęściej na motocyklu, w podniszczonej czarnej skórzanej kurtce i przekrzywionym na bok berecie, sypiący dowcipami i uśmiechnięty, obiekt zazdrości chłopców i westchnień dziewczyn.

Niektórym z nas podawał rękę, co było szczególnym wyróżnieniem, potem najbardziej zaufanym wręczał cienkie rolki papieru. Były to afisze, na których chemicznym ołówkiem, zamasyście i z wykrętami wypisano nazwę filmu. Wyruszaliśmy rowerami z nimi w różne strony i już wkrótce afisze widniały na przystanku autobusowym, przy sklepie, a także na studniach, słupach i płotach.

Po południu z miasta nadjeżdżał samochód, który pod pustą stodołę przywoził sprzęt i metalowe pudełka z filmem. Kinomechanika osaczali stali bywalcy, mężczyźni, którzy częstowali go papierosami i wódką. Na olbrzymią, co najmniej stuletnią lipę, wciągaliśmy skrzynie z głośnikami, podłączone do wzmacniacza – po czym rozpoczynał się wielki koncert.

I płynęły melodie w ciepłe niedzielne popołudnie ponad dachami chat, sadami, zgarbionymi od ciężaru dojrzewających jabłek i ogrodami, pełnymi wonnej maciejki. Były to dźwięki o magicznej sile – przywoływały ludzi na ganki, niektórzy wynosili zydle przed domy, zbierali się grupkami. Muzyka wyzwalała żarty, sprzyjała snuciu rozmów, czyniła nastrój świątecznym. „Cicha woda”, „Wiśniowy sad”, „Dzieci Pireusu”, „Besame mucho” – to tylko pierwsze z brzegu tytuły największych przebojów z tamtych lat. Były one puszczane po kilka razy z rzędu – dziewczyny tańczyły ze sobą, a chłopcy je zaczepiali z papierosami w zębach, śmiejąc się i czyniąc głośne uwagi.

Płyty puszczal największy po kinomechaniku specjalista – chłopak, który przyjeżdżał do krewnych z miasta. Głuchy na wszelkie prośby, konsekwentnie realizował swój repertuar, zresztą dużego wyboru nie było. A tymczasem przy wejściu do stodoły na stojaku stał już zmontowany projektor, na przeciwległej ścianie jaśniało prześcieradło ekranu. Powoli zapadał zmrok, chowające się za horyzontem słońce gubiło ostatnie promienie, ale niebo było jeszcze jasne.

- Zaczynaj, zaczynaj! - rozlegały się głosy przed stodołą. Ze wszystkich stron na rowerach i motocyklach, pojedynczo i grupkami wciąż napływali ludzie. Kinomechanik jeszcze kilkakrotnie pytał o godzinę, potem w towarzystwie swych pomocników zaczął wypraszać z „sali” niecierpliwych: rozpoczynała się sprzedaż biletów. Powstawał z tym pewien mankament, bo ciągle ich brakowało i trudno było określić, kto już płacił, a kto nie. Zwiększało się grono pomocników, które też nie kwapiło się do płacenia, długo pomocnicy wyliczali swe zasługi i zwlekali. W dodatku stodoła była nieszczelna... Tłumy napierały, domagano się filmu, muzyka już nie grała. Szczęśliwcy usadawiali się w najlepszym miejscu - w pobliżu ekranu. Kiedy wszystkie ławki zostały zajęte, siadano gdzie się tylko dało - na skrzyniach i różnych pudłach, kawałkach desek, wreszcie na toku, to jest na ubitej ziemi. Sprytniejsi wdrapywali się wysoko aż pod dach - na belki i rozłożone na nich drągi, lokowali się na mocowaniach stodoły. Mistrz wieczoru machnął w końcu ręką na wchodzących na gapę i zakrzętał się przy aparaturze.

I oto zgasła jedyna żarówka, zawieszona wysoko na drucie. Jak świętojańskie robaczki rozjaśniały ogniki papierosów wbrew surowemu zakazowi palenia. Przez moment było tak cicho, że słychać było odgłosy szczekania psów, potem rozległ się chichot, szybko zagłuszony przez gwizdy i tupanie nogami. Ktoś krzyknął: „Majstra na mydło!” - i w stodole zapanował nieopisany rozgardiasz. Ale oto smuga światła prześlizgnęła się ponad głowami, przesączaając się przez kłęby dymu i rozbłysła na ekranie. Ostrość obrazu pojawiła się nie od razu, lecz nie była to sprawa istotna - wszak na napisy i tak nikt nie zwracał uwagi. Po chwili wszyscy żyli losami bohaterów filmowych, a troski ulatywały gdzieś daleko - i nie daj Boże, żeby się urwała taśma!

Siedzieliśmy z zapartym tchem blisko ekranu, a przed nami snuł się świat daleki i wyśniony, w którym tak wiele się działo! Jakimże kontrastem wydawał się on wobec dusznej stodoły, w której mieszały się zapachy taniej wody kolońskiej i siana, samogonu i cebuli, potu i łuskanych pestek... Ta dziwna mieszanina zapachów kojarzy mi się jednak dzisiaj z niekłamanym urokiem objazdowego kina. Kina, które zawsze miało happy end.